

Magdalena Czyżykiewicz-Janusz

Lenin z irokezem

Grudziądz. Lata 80 minionego stulecia. Życie toczyło się w swoim tempie. Dużo punkowców, "Cela nr 3" – wśród nich najbardziej znany zespół, który koncertował i dawał namiastkę swobody. Swoimi tekstami krzyczał głosem większości młodzieży tęskniącej za wolnością. Nikt wtedy nie spodziewał się rewolucji. Przynajmniej nie tej, która miała przyjść w formie czerwonego irokeza, odbitego farbą na ścianie. Dariusz miał wówczas szesnaście lat i więcej w nim było pasji oraz pragnienia wolności niż planu. Żył w świecie, gdzie wszystko było narzucone – od hymnu poranka po portret wodza. Nie chciał jednak krzyczeć. Chciał odpowiadać. Bez przemocy, ale z potężną siłą. Tak znalazł szablon. Nie potrzebował agresywnych manifestów. Przypominał raczej taoistę z ulic Grudziądza. „Działaj nie działając, nauczaj nie nauczając” – jakby właśnie tak zdefiniował bunt i sprzeciw wobec opresyjnego systemu, który obserwował. Szablon – papierowy wycinek, segmentowy nożyk i farba w dłoni. Przede wszystkim jednak: idea. Sposób, by mówić bez przemocy, bez dosłowności, tak, by przemycić znaczenie. Zagrać z systemem w jego własną grę, tylko z większym dowcipem. Sarkastyczną formą i sposobem na wznoszenie świadomości. Cichszą, ale bardziej widoczną. Trudno określić, który szablon był pierwszy. Były bowiem trzy. Mała forma z obrazem gilotyny i hasłem „Nie trać głowy” – komentarz do rzeczywistości komunistycznej. Kolejny – „Za mundurem panny sznurem” – prowokacyjny, lekki, a przecież dotyczący lęków młodych chłopaków. Obowiązkowa służba wojskowa nie była przygodą. Był to przymus. Bunt dojrzywał razem z nim – nie w pochodach, ale w kuchennym świetle, nad wycinkiem kartonu i w śmiałych działaniach performatywnych. W sztuce i wrażliwości. Wreszcie Lenin – nie ten z czerwonych trybun, lecz z czerwonym irokezem. Szablon, który

nie atakował, lecz ośmieszał. Demaskował. Pozbawiał grozy. Przerabiał rewolucję na kontrkulturę. „Gdy młodzież przestaje być rewolucyjna, to źle wróży i młodzieży, i rewolucji.” To słowa Lenina. Dariusz dorysował mu tylko fryzurę. Wszystko wówczas stało się jasne. Marzył o murach, które mówią, a nie dzielą. Nie takich jak w gazetach – zamazanych propagandą i strachem, nasączonych symbolem podziałów i pokoleniowego bólu. Chciał ścian, które odpowiadają. Szablon był jak echo tych marzeń – kształt wycięty z niepokoju, kolor wylany z odwagi, ale i miłości do ludzi. W tym trudnym czasie, gdy inni

malowali dla buntu, on malował dla zrozumienia. Przekora nie była u niego cynizmem. Była formą troski, zadumy i refleksji. Jego szablony nie biły. One szeptały. Gdy w 1987 roku powstał „Lenin z irokezem”, sam był zaskoczony tym, co zrobił. Wizerunek ojca rewolucji z fryzurą subkultury stał się jak dialog między epokami. Kpina? Owszem, ale nade wszystko komentarz. Tak, jakby historia musiała przeżyć tę gorzką ironię, by się uleczyć. Oczyszczyć. Lenin w jego wersji przestał być groźny. Stał się ludzki. A może właśnie: odarty z boskości. Pamiętał, jak po wakacjach w Trójmieście zobaczył swoje dzieło na tylnej kieszeni dżinsów przypadkowego chłopaka, później na murze, na plecaku i na kolejnych ścianach. Motyw żył już bez niego. To w gruncie rzeczy było najpiękniejsze – obraz stał się własnością ludzi. Sztandarem młodzieży wolnej i rewolucyjnej. Punkrockowa kapela Big Cyc wykorzystwała ten wzór na okładkę swojej płyty, nie mając wówczas pojęcia, że jej autorem był 16-letni Dariusz Paczkowski. Był aktywistą m.in. Ruchu „Wolność i Pokój”, ale jego bunt miał inny ton. Gdy koledzy domagali się praw, on opowiadał światu historie. Kiedy inni skandowali, on malował. Nie czuł się gorszy. Czuł się potrzebny. Jego sztuka była wyzwaniem, próbą wydobycia światła z ciemności. Udaną próbą. Po latach, gdy street art zagościł w muzeach, a szablony trafiły do katalogów sztuki współczesnej, on nie czuł się zwycięzcą. Raczej troskliwym i czułym obserwatorem rzeczywistości. Z uśmiechem oglądał reprodukcje swoich dzieł – tych, które kiedyś były nielegalne, a dziś stały się symbolami rewolucji wrażliwej artystycznej młodzieży. Z uśmiechem obserwował ikonę światowego streetartu Banksy'ego, który niemal trzydzieści lat później powielił na murze jego dzieło. W sztuce bowiem chodziło mu zawsze o sprawę, nie o nazwisko. Swoje działania traktował jak posługę, a nie usługę – co odróżniało i dalej odróżnia go od wielu.

Może to właśnie jest prawdziwe zwycięstwo – to ciche i subtelne, które nie potrzebuje pomnika. W czasach, gdy wszystko miało być równe, szare i podporządkowane, on wyciął nożem kontur innego świata. Z papieru, z milczenia i z tęsknoty. Miał tylko wałek, trochę farby i wiarę, że to wystarczy, by obudzić coś w ludziach. Nie pomylił się. W szablonie bowiem nie chodziło tylko o bunt. Chodziło o estetykę niezgody, o harmonię protestu. O sztukę, która nie potrzebowała galerii – miała bowiem swoją największą na świecie przestrzeń: mury, skrzynki, odrapane bramy, które mijamy do dziś i na których nadal można usłyszeć miejski szept pięknego ducha Wolności. Dla tych, którzy pamiętają zapach pierwszego sprayu i dreszcz podczas malowania, „chłopak od Lenina z irokezem” jest kimś więcej. Jest tym, który pokazał, że opór może być mądry. Że można śmiać się z reżimu, nie używając pałki – tylko piękna i wielowymiarowości sztuki. Wskazał, że mur może być stroną w rozmowie, a nie barykadą. W świecie, w którym krzyk często zagłusza sens, on pozostał

wierny idei, że najważniejsze zdania mówi się szeptem. Obraz zaś – jeśli jest prawdziwy – zostaje na zawsze. Dziś ściany nadal noszą jego opowieści, choć wiele z nich zamalowano lub zniszczono. Ktoś je jednak widział, uwiecznił na fotografii. Najważniejsze z nich pozostały w ludziach – tych, którzy szli ulicą, spojrzeli w bok i po raz pierwszy uśmiechnęli się do Lenina z irokezem. Wtedy wszystko było już możliwe i jasne. Bo przecież „Lenin z irokezem” nie był tylko żartem historii, lecz symbolem odwagi młodego pokolenia - tego, które chciało oddychać pełną piersią. Dzięki niemu dziś mamy pewność, że dyktaturami wstrząsają artyści.